NUMER 33. DNIA 13. SIERPNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ZAŁOGA.

(*Dr. Przemysław Dąbkowski: „Załoga w prawie polskiem średniowiecznem“. Lwów 1905. Nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej*).

Dziwne prawo, tak jak dziwne było życie, z którego urosło takie prawo, niekonsekwentne, a z dużym fantazyjnym rozmachem, bezwzględne, a pijanym hałasem po gospodach rozbrzmiałe, ścisłe a tak szerokie pole dowolnym nadużyciom otwierające. Ekzekucja, która właściwie nic bezpośrednio nie egzekwuje, niepunktualność dłużnika, pomieszana z czcią i honorem rycerskim, przymus wyrównania długu, z równoczesnem odebraniem możności zapłaty, nadzieja odebrania pieniędzy drogą ekonomicznej ruiny dłużnika. Taką była średniowieczna „załoga“, instytucja prawna, według której niepunktualny, niesumienny dłużnik, na żądanie wierzyciela, poparte mocą obowiązującego prawa, wjeżdżać musiał z mniejszym lub większym orszakiem w pewne miejsce, najczęściej do gospody i tam tak długo przebywać i żyć własnym kosztem, tak długo się nie wydalać stamtąd, pod grozą utraty czci rycerskiej, dopóki zobowiązania nie dopełnił.

Więc niezapłacenie długu nie uwłaczało ostatecznie czci rycerskiej, ale infamisem był za to, każdy, kto się wyłamał od załogi w gospodzie, więc dłużnik nie mający skąd zapłacić długu, musiał znaleźć środki na wysiadywanie bezczynne razem z orszakiem po gospodach i karczmach i to naturalnie nie „o suchej twarzy“, bez jadła i napoju, a poczciwy wierzyciel żył sobie przez ten czas w błogiej nadziei, że jego dłużnik zrujnowany ostatecznie niepomiernymi wydatkami i zaniedbaniem własnego gospodarstwa, prędzej mu dług zapłaci, aniżeli w normalnych warunkach, przy jakiej takiej oszczędności!

Ekonomiczną jednak i społeczną kwestję „załogi“ zostawił dr. Przemysław Dąbkowski w pracy swojej najnowszej zupełnie na uboczu. Wyobrażamy sobie nawet, że się zżymnie trochę na rozchlastaną, nieścisłą i niezupełną charakterystykę „załogi“, którąśmy powyżej podali. Bo dr. Dąbkowski jest jednym z tych uczonych, którzy ścisłością, dokładnością, wszechstronnem opracowaniem i bystrem omówieniem materjału, przynoszą prawdziwy i duży pożytek poważnej nauce, a prawniczym zmysłem i wykształceniem budują dopiero teorję dawnego prawa polskiego, którego, jak powiada Wład. Łoziński, nawet w Rzeczypospolitej polskiej „nikt nie znał“ z powodu labiryntalnego jego i dorywczego charakteru.

Jeżeli tedy dr. Dąbkowski powiada, że w wydanych dotąd źródłach prawa, znalazł tylko 38 zapisek odnoszących się do załogi, to możemy być pewni, że nie ma tam ani jednego mniej ani też więcej wypadku załogi, jeżeli dalej dr. Dąbkowski, przytacza literaturę odnoszącą się do „załogi“, to będzie to dokładne zestawienie najmniejszych nawet wzmianek nie tylko w literaturze polskiej, ale także w niemieckiej, francuskiej, czeskiej, przyczem nie pominie autor nawet historycznej powiastki czeskiej W. Praseka na temat załogi pt. „L e ž á c i. K u l t u r n i o b r a z e k o e k s e k u c i“.

Również możemy być spokojni o to, że dr. Dąbkowski nie pominął ani jednej kwestji prawnej, wysnuwającej się z konstrukcji „załogi“. Owszem na podstawie krytycznego zbadania odnośnych materjałów polskich, doszedł do wniosku, że załoga nie opiera się o umowę między wierzycielem a dłużnikiem, czyli o wolę dłużnika, jak głosili dotąd wszyscy autorowie o załodze piszący w literaturze światowej, ale jest samoistnym sposobem egzekucji,

przekształconym z pierwotnego ograniczenia wolności osobistej dłużnika, pod wpływem idei państwowej, tudzież idei rycerstwa.

O ile jednak załoga w Niemczech, Francji a nawet w Czechach, bardzo była rozpowszechnioną, o tyle w Polsce nie znalazła jakoś szerszego zastosowania. Najdawniejsza o niej wiadomość źródłowa, jaką posiadamy, pochodzi z r. 1331, ostatnia z r. 1454. Najczęściej używaną była w Wielkopolsce, co się tłumaczy tem, że pochodziła ta instytucja z zachodu i przyjmowała się w krajach najbliżej owego ogniska kultury położonych, rzadziej stosowano ją w Małopolsce, a już wyjątkowo tylko na Rusi. Autor znalazł tylko dwa wypadki zastosowania załogi w ziemi lwowskiej, a jeden w ziemi sanockiej.

Rozbiorowi poszczególnych, najdrobniejszych nawet kwestji „załogi“ poświęconą jest prawie cała praca dr. Dąbkowskiego. Skutkiem ogarnięcia całej literatury przedmiotu i wszystkich wydanych dotąd źródeł, jest praca ta, podobnie jak poprzednie tegoż autora „O utwierdzeniu umów pod zgrozą łajania“ i „O rękojemstwie“ ostatnim wyrazem nauki polskiej o tych kwestjach, przynajmniej na tak długo, aż nowe jakieś odkrycia, a zwłaszcza wydawnictwa, niewydanych dotąd źródeł polskiego prawa średniowiecznego nie spowodują potrzeby rewizji jego zapatrywań.

Wracając jednak do załogi, chcielibyśmy zwrócić uwagę na kwestję, która z średniowiecznem pojęciem tej instytucji prawnej nie pozostaje w żadnym związku, ale odnosić się może raczej już do czasów najnowszych i najnowszych stosunków. Wyraz „załoga“ obok swego militarnego znaczenia, ma dzisiaj w mowie potocznej w niektórych okolicach wcale osobliwe znaczenia. Oznacza on mianowicie jakiegoś bardzo niemiłego, uciążliwego gościa w domu, wyraża pojęcie pewnego unieruchomienia jakiejś osoby w pewnem miejscu, skutkiem czego inne osoby narażone są na przykrość. Sami niejednokrotnie spotykaliśmy się z takiem znaczeniem tego wyrazu. Trudno przypuścić, aby ono pochodziło jeszcze z czasów średniowiecznych, ale że można je odnieść już do austrjackich stosunków w Galicji — to pewna. Wiadomo, że rząd austrjacki egzekwował zaległe podatki bardzo często w ten sposób, że nasyłał odnośnemu dłużnikowi do domu, jednego lub kilku „landsdragonów“, których dłużnik musiał żywić i utrzymywać tak długo, dopóki nie wyrównał należytości skarbowej. Przymusowy ten kwaterunek był więc załogą wierzyciela in optima forma a przynajmniej miał ten sam psychologiczny podkład, co średniowieczna załoga.

Fr. Jaworski.

ROMAN SMUT.

I zmarli mówią...

Wychylił się jeszcze przez okno i donośnie zawołał:

— A proszę, niech mi mama położy w bezpiecznem miejscu tę książkę dużą, żeby się nie zwalała, niech mama uważa, bo droga książka, a pożyczona!

Szybko następnie zbiegł ze schodów.

Ale siwemu ojcu poruszyło uwagę coś z tych słów, ich ton, te jakieś przestrogi. Coś zaczął chytro myśleć, bo powoli coraz bardziej oczy mu zaczęły fosforycznie świecić, migać powieki, co oznacza u ludzi niewprawnych w myśleniu pracę mózgu, aż ozwał się do gotującej wieczerzę żony:

— Słuchajno, matka, bo to widzisz tak: ja teraz myślałem, że on coś dziwnie mówił o tych książkach. A tak myślę, a uważaj:

Twarz opalona kobiety z nad rozpalonej blachy pieca podniosła na niego roztropne oczy, ciekawe.

Siwy ojciec mówił:

— On teraz dużo nosi książek, a wlipia te ślipia w nie, jakby pieniądze z tego wlipiania miał. A ma czas, to może i temu tak dużo czyta. Ale ja ci powiem, że nie temu, tylko jak się on zapisał na ten „uniwersytet“, to tak wydziwia, a teraz c powiem, dlaczego...

Tu ustał chwilkę, by ciekawość napiąć.

— „Uniwersytet“, to szkoła, gdzie się nie uczą, tylko ci nauczyciele mówią ładne rzeczy przed studentami, żeby się chwalić, jacy to mądrzy. A studentom nie trzeba się uczyć, bo to im mówią c prefesorzy: „Dość już się namordowaliście w tym gimnazjum czy w tej „realnej“, to już nie trzeba wam się uczyć, tylko słuchać, jak my mówimy“. A oni ta słuchają, źle im to?! Przecie nie ciężko im słuchać. A teraz uważaj, matka, co ci mam powiedzieć.

Staruszka od dłuższego czasu już przysiadła się na łóżku przy mężu, rozciekawiona.

Siwy ojciec mówił:

— Więc te studenty z próżniactwa czytają różne książki; ale jakie książki... złe... grzeszne...

Tu niespokojnie poruszyła się kobieta.

— Ty pewnie o tem nie wiesz... co ty... głupia kobieta nad garnkiem tylko. nie jak ja, com włoskie miasta zwiedzał we włosko-austrjackiej wojnie. Radetzky! He, codzień go widzia...

— Ale wiem, ino dalej mów, coś wymyślił.

— Ano tom wymyślił: oni czytają złe książki, same akuszeryjne i nasz takie same czyta.

Ale takie „wymyślenie“ gniewnie podrzuciło kobietę.

— A to ci powiem, chłopie stary, żeś źle wymyślił, bo nasz syn innym niepodobny i dobry.

Ale stary wziął na kieł: „A nie wiesz, że to już od dłuższego czasu nie chce nam czytać „Żywotów Świętych“, tylko goni, a przynosi książki, a świeci ślipiami nad niemi? A miarkujesz, jaka to była awantura o to, co kiedyś powiedział: „Jak człowiek nie wiedział o sobie przed urodzeniem, to i po śmierci nie będzie nic wiedział“. A gdzie dusza nieśmiertelna?! A wszystko z tych akuszeryjnych książek!“

Już grubo zafrasowana żona poczęła bronić cicho syna:

— E, bo on ta narwaniec, tak ta chlapie. O tej śmierci to i w gimnazjum jeszcze mówił tak... Bo jak to wiesz: ciągiem patrzy na umarłych, chodzi im się przyglądać i że to się nie ruszają, to on mówi, że to człowiek po śmierci staje się taką rzeczą, jak kamień i że dlatego nie ma duszy nieśmiertelnej, wchuchanej mu od Boga. Młody, to głupi, jak młody pies.

To dopiero rozpaliło starego:

— To ty mnie chcesz uczyć, głupia rzepo! Ty matko bez odrobiny oleju w głowie. To tak się ratuje dziecko swoje, głupiem gadaniem? Bierz okulary, bierz tę grzeszną książkę, czytaj mi, a będziesz wiedzieć, jakie bezeceństwa tam popisane.

Nie opierała się staruszka. Powoli, macając ręką po półeczce z garnczkami, wydobyła z za nich okulary dziwnej struktury, związane sznurkiem, o szkłach, jak cebule.

Z miną człowieka, który conajmniej rozwiązał zagadkę bytu, wręczył jej stary książkę dużą, szeroką.

Ona usiadła sobie przy oknie, na wysokiem, drewnianem krześle, a on na stołeczku, u nóg jej, by lepiej słyszeć. Na twarze im padał zielony odblask liści brzozy, która gałązki swe wielkie i delikatne, jak palce schorowanej dziewczynki, cicho a podstępnie wsuwała między ramy okna.

Staruszka odchrząknęła i z poważnem przejęciem otworzyła książkę.

Sylabizowała: „Rozprawy Akademji Umiejętności“. Oczy, żądające wyjaśnienia, skierowała na męża.

— I, nie zatrzymuj się, przerzuć kilka kartek dalej. Na takich książkach bądźco napiszą z początku, bo myślą sobie: trafi na głupiego, przeczyta jakieś „Kademije“ i ciśnie, bo będzie myślał, że to byleco. A mądry zrozumie, bo taki wie, że w takich książkach tak z początku ćmią.

Staruszka posłuszna przerzuciła kilkanaście kartek, czytała tytuł: „Żywot Royzjusza“.

— A teraz rozumiesz? Widzisz, opisują jakiegoś bezbożnika. Czytajno...

Staruszka przeglądała kartki, pot po chwili wystąpił jej na twarz. Zakłopotana poczęła tłómaczyć mężowi, że nic nie mogła zmiarkować z tego pisania, bo to nie naszym językiem, ale innym, pokręconym. To coś tak, jakby wyśmiewanie tej mowy, jaką ksiądz mówi od ołtarza przy mszy św.

To staruszka na dobre rozruszało:

— Matuś, matuś, mówię zawsze, pilnuj dziecka, bo nam wymknie się z rąk, a potem z serca. Matuś, matuś, mówię zawsze, niech no Adach czyta pobożne „Żywoty Świętych“, a ty mu tłómacz różne wykrętne i zakrętne miejsca w tej św. księdze. A szczególniej mówiłem, często mu stawiaj tego św. pustelnika za przykład, który, choć nagie i grzeszne cielsko pokazywała mu szatanica, nie dał się, ale się wolał w węglach żarzących wytarzać. A nie robiłaś tak, matko wyrodna, i dziecko nasze jedyne zaczyna teraz czytać jakieś książki, pisane zakazaną mową, co jeszcze święty śpiew boży księży przedrzeźnia!

Staruszka, dawno już skruszona, zaczęła z westchnieniem się oskarżać.

— Daj spokój, ojciec, moja wina, ale ja, matka, nie chciałabym dziecku na złe. On ta, myślałam, mądrzejszy, tyle szkół kończył, to nie potrzebuje mojej nauki. Ale...

Nie dokończyła, snać jakiś zawód ze strony syna chciała wyrazić.

— Zaczekaj, popatrzę jeszcze, może przecie nie cała książka pisana taką mową...

W izdebce słychać było przez chwilę szelest cichy obracanych kart i pomrukiwania staruszka.

Im więcej jednak przerzucała karty, tem bardziej twarz jej przybierała maskę zdumienia.

Wreszcie, nachylając się do męża i podając mu książkę, poczęła mówić cichym, a frasobliwym głosem:

— Patrzno, co to za pisanie, niby wąż kręci się po kartkach z tych liter. Jeszczem takiego nie widziała... Nawet w „Żywotach Świętych“ niema tego dziwactwa. Żebyś choć nie wyprorokował...

Staruszek przytknął księgę do oczu ze świętą trwogą i rzekł:

— Słusznie mówisz... ale, zdaje się, naszą mową pisane... czytajno...

Oddał jej książkę. Ręce jej się trzęsły, twarz ponurą się zrobiła. Ziała od tych dwojga zgrzybiałych ludzi taka trwoga szerokoskrzydła o los jedynaka, o duszę, by jej nie zszargał, taki ból śliskiem ciałem okręcał się koło ich dusz starczych a naiwnych, że nawet ich nastrojem zdawały się nasiąkać przedmioty w izdebce. Zdawało się, jakby się stuliły i cicho słuchały nowych a przykrych wieści z ich ust.

Brzoza wiotkopalca biła niespokojnie w okno. Staruszka zaczęła czytanie. U góry napotkała jakiś napis, więc sylabizowała:

Pieśń, albo Thren XXXVIII. Od Wiosny.

Choć paru słów nie rozumiała, czytała dalej, paliła ją ciekawość:

Wesołe czasy wdzięcznej nastawają wiosny,
Minęła blada zima, minął już czas posny.
Nową barwę świat bierze trybem swej natury,
Po równych łąkach ścieląc szmaragd i purpury.
Gdzie człowiek okiem rzuci,
Nigdziesz go nie zasmuci.
Mnie tylko oczy bolą: jam sam jeden, który
I na barwiste łąki i na śliczne góry
Śmiele patrzyć nie mogę; blizki lub daleki
Ich prospekt podnieść na się nie da mi powieki,
Łzami podeszłe oczy
Wieczna mi zima mroczy.

Z szybkiego początkowo czytania przechodziła kobieta do coraz więcej miarowego, a ostatnie wiersze wymawiała głosem napojonym współczuciem. Uczucia poety z przed paru wieków, melancholijnego W. Potockiego, przemówiły gwarą swą prostą do prostych również serc.

Teraz staruszka oskarżała męża:

— Byle co gadałeś, to i mowa, jak naszych „Żywotów“ i człowiek to pisał jakiś sterany, zgnębiony. Słyszysz, jak biednie mówi: „Łzami podeszłe oczy wieczna mi zima mroczy“. — I głosem ciężkim od czuwanego bólu bliźniego czytała. Nie było co odpowiadać staruszkowi.

Przypomniał sobie, jak Adach czasem mu mówił, że są boleści, dla których trzeba młodości, by się wczuć w nie, bo starość niesie ze sobą ociężałość i pragnienie ciszy.

Ale prosił żony, by jeszcze dalej czytała. A ona, przejąwszy się myślą, że się to skarży nieszczęśliwy człowiek, mówiła z książki, sunąc po niej palcem, jako dla ludzi kwitną kwiatki o ślicznym zapachu, jako ludziom życie się śmieje, a ten człowiek skarżył się na srogi los:

Jakimkolwiek sposobem
Mnie wszystko trąci grobem.

Dziwne do duszy staruszki napłynęły fale po tych słowach. Oto zobaczyła, jak jeszcze dawno, przed wielu latami, ojciec jej, siedząc u łóżka w agonji śmiertelnej miotającej się żony, wołał do konającej podobnemi słowy, by nie zostawiała sierot jemu, by go w grób wzięła ze sobą.

Wewnętrzne łkanie poczęło jej cisnąć się na te wspomnienia z piersi ku ustom.

Staruszek, zaciekawiony zmianą wyrazu twarzy żony, domagał się wyjaśnień.

I jemu przy opowiadaniu wspomnień tych rozżaliła się dusza.

I ból szedł po jasnych tych duszach, jak ongi czysty Chrystus po wodzie wielkiej. Szedł cicho, a niósł ze sobą uśmiechy smutne, pełne przeczuć oczy, a nie z tego świata. I ten ból tak...

I znowu za chwilę mieszały się żałośne słowa staruszki z szepleniem samotnej brzozy u okna. Wreszcie słychać było:

Nie masz dla mnie dziardynu
Po tobie, wdzięczny synu.

Z nad książki podniosły się oczy łez pełne, a głos staruszka cicho a smutno mówił: I nam zabrał Bóg syna...

Głowa siwa lekko mu drgała.

Głos staruszki ciągle coś żałośliwie, jakby smutne wspomnienia wyciągał z książki.

...Jak syn taki piękny i rosły pod ziemięmatkę, śmiercią porwany, ukrył się... Jako ojca jego „wszystko w serce kole, nawet lipy i topole“. A potem łkało serce ojcowskie za tym czasem, kiedy dziecko jego kochane, pełne radości życia, pięło się po nowe dary ku niebu, kiedy znało rozkosz bytu. A teraz gnie się dusza ojcowska, jak żałośliwa płaczka, bo ni pociechy, ni zapomnienia.

O! tajemnico śmierci! Niech życie zasłoną ciemną okryje swe błyskotki przed jego zbolałem okiem:

...Przysmaki najwdzięczniejszej wiosny
Wszystkie równam piołynu,
Bez Ciebie, drogi synu.

A kończył nieszczęśliwy poeta swą pieśń żałosną skargą i nadzieją:

„Na wiosnę mi się kryjesz w ziemię tego świata,
Lecz idzie druga, gdzie Cię
obaczę, moje dziecię.

Tak rozkołysał ten nieszczęśliwy, zmarły przed paru wiekami, te dusze ludzi prostych, że w ciszy izdebki słychać było jeno łkanie a ból szarpiący krwawemi wspomnieniami.

— Pamiętasz, a nasz Stach... pamiętasz pod ziemią... pociecho Ty nasza... tak Boga prosił o trochę jeszcze życia, by zostać dla starych rodziców... nie ubłagał... nie...

Rozkoszą stawały się dla nich te bolesne wspomnienia o ukochanym Stachu, który prosił, konając, Boga, żeby mu On, Wielki...

Zapomnieli o wszystkiem, a boleść jedynie im śpiewała:

Lecz idzie druga, gdzie Cię
Obaczę, moje dziecię...

A brzoza wiotkopalca biła niespokojnie w okno.

W zielonym oblasku siedząc, mówiło dwoje siwych ludzi o śmierci:

— Ojciec... ojciec... policzno... ile to naszych tam... wiesz...

A głos zbolałego ojca mówił, licząc na trzęsących się palcach:

— Une — Michaś... Duo — Zosia... Tre — Sta-ach...

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Ażeby dać możność poznania, jak ważną odgrywają rolę marzenia senne nawet w dobie obecnej na bieg myśli nie tylko tłumu ciemnego, ale i osób t. z. wykształconych i w jaką je szatę cudowną albo dziwaczną przyoblekać starają się ludzie — przytoczę kilka przykładów następujących.

Przykład pierwszy. W Wilnie podczas spoczynku nocnego, gdy służba pełniąca czynność stróżów kościelnych w kaplicy N. Panny Ostrobramskiej była pogrążona we śnie głębokim, przyśnić się miała Matka Boska, nakazując zakrystjanowi zgasić gromnice, palące się we dnie i w nocy przed ołtarzem cudownym. Zakrystjan przebudził się, ale rozkazu nie wykonał. Po chwili, gdy zasnął znowu, zjawić się miała powtórnie Panna Najświętsza, nakazując już teraz z całą stanowczością, by szedł natychmiast i pogasił światło. Zakrystjan tym razem już nie śmiał jakoby opierać się dłużej, więc wykonał rozkaz najsumienniej i z rana miał opowiedzieć proboszczowi o śnie swoim i czynności swej nocnej. Proboszcz ze swej strony miał natychmiast zbadać osobiście grube, jarzące gromnice i znaleść miał w nich ukrytą masę wybuchową. Gdyby owe świece były się dłużej paliły, głosiła opowieść, eksplozja nastąpiłaby niezawodnie. Badania dalsze miały wykazać, że te olbrzymie świece były ofiarowane przez osobę nieznaną, mającą widocznie jakieś zamiary zbrodnicze na myśli.

Tej opowieści, nad wszelki wyraz naiwnej, dziecinnej, wierzył i po dziś dzień wierzy nie tylko tłum przesądny, ciemny; nie tylko w nią wierzą bigotki „chusteczkowe“, „czepcowe“ i siermiężne, ale i kapeluszowe, długotrenowe, strusiopióre, a z niemi razem i osoby płci męskiej, należące do klasy wykształconej, czyli czoło inteligencji wileńskiej.

Przykład drugi. Pod tytułem „Przeczucia senne“, wyszła praca wielce ciekawa, drukowana w czasopiśmie specjalnem naukowem „Archives de Psychologie“ T. IV., Nr. 13., p. 58. W tej pracy opisał Prof. Théodor Flournoy z Genewy, „jeden z najsławniejszych“ obecnych psychologów, fakty, mające jakoby niezmierną donioslość dla sprawy przepowiedni sennych. Oto, co on pisze: „Pewna dama, Madame Buscarlet, urodzona w Genewie, pełniła w ciągu lat trzech czynność nauczycielki w domu Rosjan, pp. M. w Charkowie, poczem, gdy jej uczenicę oddano na pensję, wróciła do Genewy. Zaprzyjaźniona bardzo ściśle z rodziną, o której mowa, korespondowała z nią często, wspominając w listach swoich o wspólnych znajomych z Charkowa, tak np. o przełożonej pensji żeńskiej, pani N., następnie o pannie Oldze P. etc. Otóż przesyłając dnia 22. grudnia list do pp. M. w celu złożenia życzeń noworocznych, wypisała pani Buscarlet pomiędzy innemi taką opowieść: „Dzisiaj, t. j. 22. grudnia now. st., czyli 10. grudnia st. st., miałam sen śmieszny, komunikuję go pp. nie dla tego, ażebym do niego miała przywiązywać jakiekolwiek bądź znaczenie, lecz tylko wprost z racji, że jest pocieszny. I tak śniło mi się, że my obie, t. j. ja i p. M. szłyśmy po drodze, którędy toczył się wóz, gdy ten ostatni nas mijał, posłyszałam głos, wołający na panią po imieniu. Na to wołanie

zbliżyłyśmy się do wozu i wtedy ujrzałam w poprzek niego leżącą pannę Olgę P., ta miała na sobie suknię białą i czepek biały, przybrany w żółte wstążki. Gdyśmy stanęły obok wozu, p. Olga rzekła do pani: Wołałam, chcąc oznajmić, że przełożona instytutu panien w Charkowie, p. N. opuści ten zakład 17. grudnia st. st. Powiedziawszy te słowa, umilkła p. Olga i wóz się oddalił. Nieprawdaż, dodaje p. Buscarlet, że bywają często na świecie sny pocieszne“.

List, o którym mowa, oddany został na pocztę 12. grudnia st. st., doszedł do Charkowa 20. grudnia st. st. Na ów list odpowiedział sam p. M. natychmiast temi słowy:

„Nie, łaskawa p. Buscarlet, sen pani z 10—22 grudnia nie jest ani pocieszny, ani żartobliwy, jest on raczej zagadkowy, zdumiewający, napełniający nas trwogą! Nasza ukochana p. N., nasza nieszczęśliwa p. N. w samej rzeczy opuściła 17. grudnia st. st. instytut, którego była kierowniczką, ażeby do niego już nie wrócić nigdy. Gorączka szkarlatyny, połączona z difterytem, po trzech dniach cierpienia wtrąciła ją do grobu. Dnia 16. grudnia st. st. o godzinie $11^{3}/_{4}$ po południu umarła, zaś 17. grudnia st. st. o drugiej godzinie po północy przeniesioną została do kaplicy. Czyż to nie jest rzeczą iście zagadkową?“

Te dwa listy, z których tu wyjątki przytoczyłem i fakty, o których wspomniałem, dały podstawę prof. psychologji do sporządzenia uczonej rozprawy o przeczuciach sennych. Przekonywamy się dowodnie, że jeszcze dzisiaj Egipt i Assyrja nie daleko leżą od Genewy. Cała telepatja, czyli działanie myśli na odległość, bez pośrednictwa materjalnego, jest dzieckiem wiary w cuda.

P r z y k ł a d t r z e c i. W jednym z cichych, ciemnych dworków Królestwa kongresowego, wdowa po zmarłym z suchot sybiraku, wychowywała córkę jedynaczkę. Dobre to było i nadobne dziewczę, ale niestety otoczone atmosferą ultrabigoterji zaściankowej i mistycyzmu przesądnego, wierzyła najszczerzej w sny i w cuda wszelakiego rodzaju. Wujaszek literat, mistyk i bigot, wracając z Paryża, przyniósł w podarku pieszczoszce swojej, ukochanej przez całe sąsiedztwo — pierścionek bardzo cenny z brylantem i szafirami, mający obok tego wartość jeszcze większą z racji, że był poświęcony przed ołtarzem Matki Boskiej w Lourdes. Panienka była tym podarkiem zachwycona, cieszyła się nim jak dziecko, sporządziła pudełko ozdobne z poduszeczką szkaplerną, na nią składała pierścionek na noc i modliła się przed obrączką, jak przed świętością cudowną. Pewnej nocy panienka miała sen taki:

Matka Boska Częstochowska zjawiła się u łoża śpiącej z rozkazem, ażeby jej ofiarowała pierścionek swój i zawiesiła go jako „votum“ przed obrazem cudownym w Częstochowie. Panienka opowiedziała swój sen matce i obie postanowiły odbyć pielgrzymkę pieszo do miejsca świętego i tam zawiesić pierścionek przed obrazem. Postanowienie swoje wykonały skrupulatnie, po długich modłach i po spowiedzi. W rok po tej ofierze odwiedziły Częstochowę, lecz pierścionka na miejscu już nie znalazły. Z myślami smutnemi, a po części grzesznemi, wróciła jedynaczka do domu, gdzie myślała ciągle o tym, nieprzewidywanym wcale wypadku. Po pewnym czasie przyśniła się powtórnie panience Matka Boska: milcząco zjawiła się u łoża śpiącej, z wyciągniętą przed siebie ręką, ozdobioną owym pierścionkiem, który był znikł z przed obrazu. To widzenie senne, jako nowe objawienie, rozradowało serce dziewczęcia. Wyspowiadała się panienka co najspieszniej ze swoich grzesznych myśli i podejrzeń, odbyła ciężką pokutę przy pomocy modłów i postu i cieszyła się niezmiernie z zaszczytu, który stał się udziałem jej ulubionego pierścionka.

Minęło lat kilka od owej daty. Panna poznała młodzieńca, który posiadł jej serce, zaręczyny odbyły się solennie w Częstochowej. Podczas aktu uroczystego zamiany pierścionków narzeczona była zdumiona cudem, gdy poznała swój dawny pierścionek, włożony jej teraz na palec. Padła na kolana uszczęśliwiona, dziękując Pannie Najświętszej za to, że wróciła jej tak drogą dla serca pamiątkę. Od narzeczonego dowiedziała się panna tylko tyle, że kupił ów pierścionek zaręczynowy od złotnika w Częstochowie.

Opowieść tę całą ze wszystkimi szczegółami, podanymi tu w skróceniu, komunikował mi kolega, prawnik wykształcony; był to człowiek „oczytany“, „rozsądny“, a jednak pomimo to wszystko przeświadczony był o prawdzie tej dziwnej cudowności. Na wszystkie argumenty i na logiczne, zgodne z naturą rzeczy, objaśnienia faktów, przedstawionych w tym opisie, odpowiadał przecząco i pozostawał w swojej wierze aż do czasu, gdy małżonek owej właścicielki cudownego pierścionka, podjął był przed nim rąbek z części końcowej historji pierścionka.

P r z y k ł a d c z w a r t y. Gdy siostrzeniec bogacza Benardakiego na Syberji, mającego liczne złote kopalnie na Amurze, powziął był zamiar wysłania nowej ekspedycji w celu poszukiwania złota w okolicach rzeki Z e i, namówił do tej wyprawy

uczonego geologa, ten zgodził się na propozycję, ale postanowił wziąść ze sobą pewnego Burjata, który uchodził pomiędzy mieszkańcami okolicznymi za człowieka, obdarzonego właściwościami snów proroczych. Opowiadano o nim legendę następującą. Gdzieś w tajdze był on najęty za robotnika kopalnianego; położywszy się spać, miał sen proroczy, zjawił się mu we śnie Mikołaj święty i rzekł: Pójdziesz doliną na prawo, aż do miejsca, gdzie stoją dwa drzewa odosobnione, ku sobie pochylone, stąd o pięćdziesiąt kroków ku rzeczce zaczniesz kopać i znajdziesz złoto w ilości obfitej". Burjat opowiedział swój sen zarządzającemu partją wywiadowczą, lecz ten nie dał mu wiary. Wróciwszy tedy do Irkucka, Burjat opowiedział sen swój innemu zarządzającemu, który mu uwierzył na słowo. Urządzono tedy wyprawę i znaleziono złoto. Legenda ta znalazła uznanie w duszy człowieka wykształconego, człowieka uczonego, jakim był geolog, o którym mowa, tak, że sprowadził on Burjata do Irkucka i namawiał go, ażeby jechał na Amur dla poszukiwania pokładów złota za pomocą snów proroczych. Jeżeli tedy rozumny, uczony człowiek nie jest wolny od przesądów, jeżeli takie umysły, jak Pascal, Newton, Kartezjusz, Euler etc. tonęli w morzu zabobonów i wierzeń dziecinnych, to cóż mówić o pospólstwie, o przeciętnych ludziach, t. zw. wykształconych, którzy zakupują wodę z Lourdes za grube pieniądze, starają się o bilety do Raju i żegnają buzię krzyżem przy poziewaniu, ażeby przez nią djabeł nie dostał się do duszy.

Na tych kilku przykładach, przytoczonych powyżej, poprzestać mogę, a mam ich w pamięci całe tłoki. Wszystkie one świadczą, że wiara w cudowność marzeń sennych nie jest dzisiaj mniejszą, niż była w czasach barbarzyństwa ludów, a stan taki pozostanie niezmieniony aż do chwili, gdy wiara w świat duchów nie przestanie być podstawą światopoglądu społeczeństw t. zw. cywilizowanych. Świeża praca znanego uczonego Alfreda R. Wallace'a pod tytułem „Stanowisko człowieka we wszechświecie", gdzie autor stara się dowieść antropocentryczności osoby człowieka we wszechświecie — jasno wykazuje, że umysł ludzki nie tak łatwo może się pozbyć szowinizmu i egoizmu. Przysłowie białolechickie, które powiada, że „gdzie dureń bolszy, tam cudy możniejszy", jest o tyle niesłuszne, że niekoniecznie trzeba być głupcem na to, ażeby wierzyć, że przyrodzoność nie istnieje na świecie — trzeba być tylko ciemnym i zarozumialcem. (C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

„Teatr natury" pod Paryżem.

Do C h a m p i g n y, schludnej mieściny, odświeżonej wodami Marny, można się dostać z Paryża nie tylko koleją ale i tramwajem elektrycznym. Całkowita nazwa mieściny jest Champigny-La-Bataille (Chambigny-Bitwa), bo ziemię w tym miejscu zrosiła, a wody rzeki Marny zabarwiła krew ochotników, którzy ulegli przemocy pruskiej w 1870—71 r. W tej to mieścinie dziś grono pisarzy i obywateli urządziło teatr pod gołem niebem, teatr, który oni nazwali sami „teatrem starożytnym" albo „teatrem natury". Dlaczego dano nazwę teatru natury — nie trzeba szukać odpowiedzi; oko widza może cieszyć się widokiem nieba i drzew w chwili, gdy ucho jego rozkołysane jest dźwiękiem słów poetyckich. „Teatrem starożytności" nazwano zaś te przedstawienia niedzielne dlatego, że przedsiębiorstwo jest dziełem obywatelskiem, a nie spekulacją pojedyńczych awanturników, którzy wyzyskują potrzebę odpoczynku, jaka rodzi się w każdym z nas po trudzie całotygodniowym. Chciano więc powiedzieć, że przedstawienia te przypominają zjazdy obywatelskie czasów greckich, kiedy poeci, śpiewacy i aktorowie nie mieli między sobą a narodem pośrednika w osobie przedsiębiorcy.

Przedstawienia sceniczne pod gołem niebem nie są nowiną we Francji. Stare ruiny amfiteatrów rzymskich, które pozostały w niektórych miastach Francji południowej, natchnęły artystów niektórych do dawania przedstawień letnich i to w chwili, gdy bogaci Paryżanie, nie chcąc cierpieć od spiekoty letniej w stolicy, przenoszą się na pobyt chwilowy pod modre niebo południa.

Tymczasem obyczaje się zdemokratyzowały. Dziś całe niemal mieszczaństwo drobne oraz rzemieślnicy urządzają sobie „wakacje letnie". Inni zaś korzystają z odpoczynku niedzielnego, by na bicyklu poszukać powietrza świeżego i rozrywki za miastem. Ale jaką do dziś dnia bywała rozrywka umysłowa latem? Teatry były zamknięte; istniały tylko ogródki nędzne, w których rozpasane śpiewaczki głos zastępowały słowem sprośnem, talent wzrokiem bezwstydnym, a sztukę — obnażaniem swego ciała.

Przeciw temu nowe teatry pod gołem niebem będą walczyły ze skutkiem dobrym. Ogródki będą opuszczone przez tych, którzy do dziś dnia z musu do nich uczęszczali. Z chwilą zaś, gdy w kraju wytworzy się zdrowa opinja przeciw zabawom, w których swawola gnuśna zastępuje rozrywkę moralną,

większość bierna w swym sądzie umysłowym, przyłączy się do mniejszości inteligentnej. Takiem będzie znaczenie tej nowej na polu życia artystycznego inicjatywy.

„Teatr natury“ pod Paryżem nie jest przedsięwzięciem rządowem. Organizacja jest bardzo zręcznie prowadzona, gdyż za obrębem reżysera i komitetu technicznego istnieją dwa inne komitety. Jeden to „komitet opieki“, złożony z autorów i kilku posłów oraz ministra sztuk pięknych; drugi, tak zwany „komitet propagandy“ składa się niemal wyłącznie z merów, t. j. burmistrzów wszystkich miasteczek okolicznych.

Z tego, cośmy o tym teatrze powiedzieli, jasna, że nazwy jego nie potrzeba brać dosłownie. Nie jest on ani teatrem klasycznym ani też teatrem natury, bo głównym celem jego jest właśnie walka z naturą, która latem, w czasie upałów, pozbawia ludność stolicy jej normalnych rozrywek umysłowych.

Po części teatr ten jest i teatrem ludowym, gdyż wstęp tani pozwala masom brać w nim udział; otwarty tylko w niedzielę popołudniu daje on możność ludziom pracy skorzystać dobrze z dnia odpoczynku i zapoznać się z dziełami spółczesnych autorów dramatycznych.

Teatr w Champigny — dziś luźne i oderwane zjawisko na polu uprzystępniania sztuki – wkrótce będzie tylko jednem ogniwem w całym łańcuchu usiłowań podobnych. Zawiązała się bowiem w Paryżu specjalna komisja teatrów ludowych, zadaniem której ma być zreorganizowanie zupełne tej tak potężnej rozrywki umysłowej i moralnej dla mas ludowych. A i prace tej komisji będą tylko ogniwem w łańcuchu demokratyzacji społeczeństwa francuskiego. Idzie bowiem o demokratyzację kultury, o unarodowienie wiekowej kraju cywilizacji. Demokratyzacja zaś kultury jest jedyną gwarancją stałości demokracji politycznej.

Repertoar teatru w Champigny dowodzi, że właśnie o demokratyzację kultury spółczesnej chodzi. Dotychczas grano dramat poety Peladana p. nazwą „Semiramida“, oraz dramat posła i redaktora dziennika „Le Radical“, (w którym sędziwy Lacroix-Krzyżanowski jest głównym współpracownikiem), pod tytułem „Jakób Prostak“ (Bonhomme). Jest to nazwa historyczna dla chłopa francuzkiego w jego walce o ziemię ze szlachtą i o swobodę z uciskiem feodalnym i monarchistycznym. Maeterlink i jego towarzysze myśli we Francji będą autorami sztuk następnych.

Kilkotysięczny tłum z różnych klas i warstw społecznych przysłuchiwał się tymi dniami tyradom posła Maujana. Jakkolwiek sztuka sama wiele pozostawia do życzenia, ale wszyscy widzowie czuli się zespoleni myślą o „lepszem jutrze“, dla którego też w swym czasie walczyli Bonomi z gleby francuskiej.

Meta.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Do dziejów architektury cerkiewnej. Świeżo wyszła, ostatnia przed śmiercią, praca nieodżałowanej pamięci Kazimierza Mokłowskiego. Tytuł jej „Do dziejów architektury cerkiewnej na Rusi Czerwonej“, rzecz zaś sama opracowana wspólnie z prof. Marjanem Sokołowskim omawia architekturę cerkwi w Ławrowie pow. starosamborskiego. Cerkiew ta bardzo oryginalnej i ciekawej struktury, pochodząca według prawdopodobieństwa z XIII w., nosi na sobie wybitne cechy stylu romańskiego, stanowiąc jeszcze jeden dowód wpływów kultury zachodniej na Rusi. Dokładne opracowanie pod względem architektonicznym tej cerkwi, dokonane przez śp. Mokłowskiego z tą samą bystrością i sumiennością, która cechowała prace zmarłego przedwcześnie badacza kultury, posłużyło prof. Sokołowskiemu za podstawę do ciekawego studjum o strukturze i pochodzeniu najstarszych cerkwi ruskich na Rusi w związku z ogólnymi typami sztuki bizantyńskiej.

ZAPISKI.

Monety rzymskie we Lwowie. Przy robotach ziemnych prowadzonych obecnie obok nowej rzeźni miejskiej, wykopano tymi dniami denar srebrny rzymski z czasów panowania cesarza Ghety, to jest z lat 211 — 212 po Chr. Wogóle wykopaliska monet rzymskich nie są w Galicji rzadkością, zdarzało się nieraz odkopać znaczniejszą ilość, świadczącą o stosunkach handlowych Rzymian ze współczesnymi ludami, które naszą ziemię zamieszkiwały. Przed paru laty wykopano przy ulicy Łyczakowskiej monetę srebrną, przedstawiającą wartość ćwierć assa, a to z czasów drugiej wojny punickiej.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.